









P. II - 376



# GŁOS P R A W D Y

## TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy” Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-87.  
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.  
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

WARSZAWA, DNIA 1 GRUDNIA 1923 ROKU.

### Obtędy parlamentaryzmu.

Nie ulega wątpliwości, że pomiędzy myślącym społeczeństwem a Sejmem zarysowuje się coraz głębsza przepaść. Prostu my ludzie prości, normalnie myślący, obserwując „arkany wyższej polityki” uprawianej w gmachu na Wiejskiej ulicy przestajemy rozumieć, co się tam dzieje, zaczynamy traktować naszych parlamentarzystów jako ludzi chorych na obtędy parlamentaryzmu. Chorobę tę powoduje: specyficzna atmosfera naszego parlamentu. Jedni tworzą większość polską, inni z otówkiem w rękę szukają większości arytmetycznej, inni znowu z manjackim uporem gonią chimery większości od Chadecji do P. P. S. — a wszystko to razem powoduje takie kroki i takie posunięcia na terenie parlamentarnym, których społeczeństwo nie może zrozumieć. Stąd Sejm zamiast być zwierciadłem nastrojów społeczeństwa, staje się siedliskiem współczesnych alchemików i magów, poszukujących „politycznych kamieni”, mających dać zdrowie i szczęście narodowi, bez jego wiedzy i udziału w tem, co się dzieje w tych zakamarkach alchemicznych.

Przykładem tego rozdźwięku między społeczeństwem a Sejmem może służyć głosowanie lewicy za ustawą o waloryzacji podatków. Konia z rządem temu, kto zrozumie dlaczego lewica za tą ustawą głosowała. W każdej rzeczy, a tembardziej, albo — nawet w polityce musi być jakaś logika.

Gdzież ta logika?

Z jednej strony lewica sejmowa wraz z całym społeczeństwem załamuje ręce nad dyletancką polityką Kucharskiego.



Posłowie i dziennikarze lewicowi twierdzą, że Kucharski „morfizuje” społeczeństwo, prowadzi skarb do ruiny, że każdy dzień jego urzędowania wprowadza coraz to dalsze zabagnianie sprawy. I oto ten bankrut polityczny, którego bliższe nieuctwo i niedołęstwo są jasne dla wszystkich, przeciwko osobie którego burzą się rozumniejsi i uczciwsi ludzie nawet wśród stronnictw większości, chwyta się, jak ostatniej deski ratunku, ustawy o waloryzacji. Sam fakt, że człowiek, który rozpoczął swe rządy od rujnowania planu Grabskiego, którego fundamentem była waloryzacja podatków i kredytów, dziś wraca do tego co zburzył — świadczy, że jest bankrutem i winien ponieść konsekwencje bankructwa.

Lewica jako nieprzejednana opozycja miała obowiązek oświadczyć, że jakkolwiek oddawna zasadniczo jest zwolenniczką waloryzacji i cieszy się bardzo, że nareszcie jej punkt widzenia podziela dzisiejsza większość, to jednak będzie głosować przeciw, póki ministrem skarbu będzie p. Kucharski, bowiem w ręce niedołęgi i analfabety skarbowego nie ma możliwości ani prawa oddać ostatniej broni, jaka pozostała skarbowi państwa.

To byłoby logiczne i zrozumiałe dla nas i zagranicy.

Dla nas ludzi prostych, nie zatrutych miazmatami wyższych kombinacji parlamentarnych i plotek kularowych jest aż nadto jasne, że lewica widząc, iż bez jej głosów ustawa o waloryzacji nie przejdzie, winna była stanąć przynajmniej na gruncie minimalnych wymagań, t. j. uzależnić poparcie ustawy od dymisji Kucharskiego, jako niezdolnego do jej zrealizowania. A jest rzeczą wprost niezrozumiałą dlaczego lewica nie zażądała kategorycznie i nieodwołalnie wprowadzenia do ustawy paragrafu o waloryzacji płac urzędników i pracowników państwowych i samorządowych.

Z jednej strony pociągnęłoby to za sobą waloryzację płac i w prywatnych insytywach, a z drugiej nie oddałoby ogromnych rzesz pracowników państwowych na łaskę i nie łaskę każdorazowych „dodatków”, dowolnie ustanawianych przez p. Kucharskiego. Lewica wiele mówi o waloryzacji płac, a gdy konkretnie mogła ją przeprowadzić — żadnej próby nawet w tym kierunku nie przedsięwzięła.

Jeśli zaś tych minimalnych nawet żądań lewica nie pochwala, to winna była głosować przeciw ustawie o waloryzacji, z tej chociażby prostej racji, że rząd obecny uważa za klęskę narodową i chce jaknajszybciej go obalić.

A tembardziej prostrym obowiązkiem lewicy wobec narodu było głosować przeciwko ustawie o waloryzacji, jeśli ona naprawdę wierzy w jej zbawienność. Czegóż bowiem dokonała swym głosowaniem? *De facto* przyczyniła się do zaprzeczenia waloryzacji. W łonie rządzącej większości niema zgody w tej sprawie. Klub Dubadecji, niezbędny trzon większości, szantażem i groźbą wystąpienia z większości, niewątpliwie

dokona tego, że ustawa pozostanie w istocie martwą literą, że spadnie ciężarem na drobny przemysł i włościactwo, lecz wielkie rekiny przemysłu i ziemianie potrafią skutecznie obronić się przed jej konsekwencjami.

*Mato jest uchwalić ustawę, trzeba ją zrealizować.* Otóż na realizację tej ustawy Diamand, Łypacewicz i Bogusławski — tak wymowni jej obrońcy, nie będą mieli najmniejszego wpływu, który jak w innych tak i w tej sprawie spoczywa w rękach otwartych przeciwników ustawy pp.: Michalskich i Jaroszyńskich, wspieranych pocichu lecz gorliwie i skutecznie przez pp.: Wierzbickich, Kiniorskich i S-kę.

Gdzie tu logika, gdzie tu zdrowy sens?

Lewica głosując za ustawą uratowała Kucharskiego, oszczędziła prawicy jeśli nie konieczności ustąpienia rządu, bo ten zdaje się głuchy będzie na wszelkie votum nieufności Sejmu, to przynajmniej upokorzenie jakim byłoby wykazanie, że niema większości w zasadniczych sprawach. — Wreszcie konieczną i zbawienną ustawę oddała na łaskę i niełaskę Dubadecji, która wygrywając swą rolę w większości potrafi tę ustawę unicestwić. Więc dlaczego lewica głosowała za waloryzacją? Prostu dlatego, że we wtorek Sejm nawiedził atak „obłądu parlamentarnego“, gdy wszyscy na wyścigi chcieli manifestować swój patriotyzm i swą troskę o skarb. A tymczasem zbrodnią było głosować za dobrą ustawą, której wykonanie oddaje się w ręce tych, których uważa się za niedołęgów i szkodników państwowych. A jeśli nie obłąd, jeśli się ktoś bardzo za to określenie pogniewa, czegóż tedy dowodzi to głosowanie? Absolutnego niedołęstwa lub może słuszności zarzuconego lewicy przezemnie strachu władzy.

Logika dopuszcza trzy alternatywy w ocenie istotnych motywów głosowania lewicy: albo w gruncie rzeczy uważa ona Kucharskiego za właściwego człowieka na właściwym miejscu, albo uległa presji *Dwunęgrozówki*, która zgóry głosujących przeciwko waloryzacji (Michalski, Jaroszyński) mianowała honorowymi wrogami państwa, lub wreszcie przeraziła się widmą przesilenia gabinetowego.

W pierwszym wypadku, jeśli by tak być miało, należałoby mieć do lewicy parlamentarnej pretensję o dezorientowanie opinii przez pociąganie społeczeństwa do walki z ministrem, którego skrycie sama popiera. Druga alternatywa wydaje nam się nieprawdopodobną w tym rozumieniu, że posłowie lewicowi, a już szczególnie Barlicki, Dąbski, Thugutt i Popiel nie potrzebują patentu na patriotyzm od Sadzewiczów i Nowaczyńskich. — Pozostaje więc ewentualność ostatnia — obawa przesilenia i wynikającej zeń odpowiedzialności za przyszły rząd.

Lecz jeśli tak, to *qui bono* ciągle wysuwa się społeczeństwu hasło jaknajszybszego obalenia tego rządu? Kto ma obalić: Sejm czy społeczeństwo? Jeśli bowiem opozycja Sejmowa mo-



bilizując opinię w kierunku szybkich decyzji, sama się ociąga — w rezultacie tym samym przynagla pozaparlamentarne rozwiązanie sytuacji, którego jest, aż do naiwnej przesady, nieubłaganym wrogiem. I czy lewica sejmowa chce czy nie chce, logika jej taktyki jest właśnie taka, a nie inna i my, skromni szeregowcy polityczni, nie mamy powodu tej prawdy ukrywać.

Lecz jeśli istotnie rządu tego obalać lewica sejmowa nie ma zamiaru, należy cofnąć bojowe hasła, zadowolnić się rolą lojalnej opozycji, wytykającej te czy inne błędy, wady i nadużycia. Wówczas takie głosowanie jak wtorkowe będzie całkowicie usprawiedliwione, a nawet wysoce patriotyczne. Obecnej zaś podwójnej roli lewicy — wołania nazewnątrz, że każdy dalszy dzień istnienia tego rządu, to klęska narodowa, a jednocześnie popieranie go w Sejmie — społeczeństwo nie może sobie tłumaczyć niczem innym, jak tylko chorobą, której na imię — obłęd parlamentaryzmu.

*Tadeusz Hołówko.*

## **Marzenia ściętej głowy.**

Rząd obecny naprawdę uwierzył w to, że nie może niczego dokonać, bo wszędzie staje mu na zawadzie lewica. W dziejach ludzkości pierwszy raz mamy do czynienia z rządem tak wybitnie przychylnie usposobionym dla swojej opozycji. — Od samego początku swego istnienia codziennie przez tubę swoich organów ogłasza wszem wobec i na cztery strony świata, jak to lewica unicestwia wszelkie poczynania rządowe. Rząd reklamujący swoją własną opozycję to przecież fenomenalne zjawisko. Opozycja tem dumniejszą być może z tej reklamy, im bardziej sam rząd przedstawia się za rząd silnej ręki.

Jesteśmy pewni, że na drugi dzień po upadku tego rządu opinja prawicowa wszystkie niepowodzenia, całe ugrzęźnięcie wozu państwowego, którego z bagaa chciał wyciągnąć rząd przez pół roku tylko przeraźliwymi okrzykami: hejta! hejta! niczem więcej — zostanie przypisane lewicy na jej rachunek sumienia.

Wbrew pozorom rząd i t. zw. większość sejmowa jest naprawdę wzruszająco skromna. W parze z tą skromnością idzie i troskliwość i uważne napięcie jego uwagi na to, co robi opozycja lub co może zrobić. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych jest całe pochłonięte tą pracą. Urzędnicy zostali w tę robotę tak wdrożeńi, że dla pamięci notują sobie czerwonym ołówkiem na kalendarzach ściennych terminy zapowiedzianych zamachów. Takiego rodzaju życie urabia specjalną psychologję. Można popaść albo w kompletne niedowiarstwo i niczego nie brać pod uwagę i niczego się nie obawiać, lecz to byłoby nielojalnością i niesumiennością, albo trzeba wszystkiemu wierzyć i wszystkiemu się obawiać. Rozum kazał wybrać to drugie. Odtąd p. Kier-



nik odbywa nieustający seans. Nawiedzają go upiory i blade widma i czarny korowód sów, puchaczów, kruków i awolkieniów. Coraz częściej zjawiają się odlewy „zbrodniczej ręki“, coraz częściej duchy rzucają na ziemię kodeksy prawa, coraz częściej ponure głosy nakazują zarządzić alarm i pogotowie policyjne ostre, ostrzejsze i najostrzejsze.

W takiej atmosferze rodzi się skłonność do ballad. Takim balladami są oracje p. Kiernika wygłoszone czy też wystenografowane w Sejmie i Senacie o wypadkach krakowskich. P. Kiernik, choć mu z tem jako adwokatowi z Bochni nie do twarzy, uległ romantycznemu szałowi i z pasją tworzy ponure legendy o spisku, zasadzce, czarnych duchach.

Jedna z takich ballad zrazu bardzo popularnych wśród większości sejmowej i jej organach mówi o czarodziejskiem zaklęciu, rzucającem niesamowity urok, zaklęciu brzmiałem: Niech żyje Piłsudski!

Pierwsze relacje pism pravicowych o zdarzeniach krakowskich opowiadały o tem, że w chwili, gdy tłum robotniczy zmieszał się z kompanją wojska, padł okrzyk: Niech żyje Piłsudski! Wywołał on wśród żołnierzy i oficerów zakłopotanie i konsternację. — Być może, że ten epizod zaszedł istotnie. Pasja snucia ballad każe widzieć, czynnikom popierającym rząd, w tym okrzyku znak i hasło umówionej i ukartowanej wprzód gry spiskowej. Rozigrana fantazja gotowa jest widzieć, że „Niech żyje Piłsudski!“ krzyczeli komuniści, choć ci od pięciu lat stałe i konsekwentnie dublują z pravicowymi fachowcami rolę kalumniatorów Piłsudskiego. Wyobraźnia pędzona na manowce strachem i wieczny ogień nienawiści do Piłsudskiego nie jest w stanie ten moment w wypadkach krakowskich zanalizować spokojnie i obiektywnie.

A jest on dla sfer rządowych bardzo pouczającym.

Przez cztery lata okrzyk: Niech żyje Piłsudski! był arką przymierza między młodą armją polską, a najszerszymi warstwami ludowymi. Z tysiąca i jeden nawyków, które chwaszczą się w duszy polskiej, jako pozostałości wysiane i rozpleniłone w czasie niewoli — jeden nawyk niechętnego czy nienawistnego odnoszenia się tłumów do wojska został dzięki temu właśnie okrzykowi wypleniony.

A dziś? Lud wznosi okrzyk: Niech żyje Piłsudski. Jakież to prawo, jakaż ustawa, jakie rozporządzenie czy rozkaz mogą być na tyle mocne, by zakazać sercu żołnierskiemu zadrgnąć na dźwięk tego imienia. Żaden rząd najsilniejszej ręki nie wydrze z dusz ludzkich tej ukochanej struny.

Czy czynniki rządowe powzięły decyzję skierowania najsurowszego śledztwa, by odnaleźć trop: kto pierwszy z tłumów miał się rzucić ten „rewolucyjny“ okrzyk? Czy chcą odkomenderować sforę agentów, by uszy do piersi żołnierskich przywarli i wysłuchali, które to z serc drga na słowo: Piłsudski?

Być może — rząd ten stać i na takie śledztwo. Obiektywny jednak obserwator wypadków krakowskich stwierdzić będzie musiał tragiczną rozterkę i bolesne załamania się dusz żołnierskich. Jakaż była jedyna, naturalna, szczerą odpowiedź oddziału wojska na okrzyk: Niech żyje Piłsudski! Komenda: Bacność! Prezen tuj broń! Ta komenda dziś w Polsce od sześciu miesięcy paść nie może. W chwili stworzenia się sytuacji, w której pozosta nie marszałka Piłsudskiego w wojsku stało się niemożliwością, przestrzegaliśmy, że armja bez Piłsudskiego musi być narażona na kryzys moralny. Przepowiednie nasze miały się niestety sprawdzić.

Panu ministrowi Szeptyckiemu radzimy sięgnąć pamięcią do swoich własnych przeżyć. Pan minister wojsk polskich przypomina sobie zapewne, jak to w roku 1916, w Baranowiczach wizytował jako pułkownik austriackiego sztabu generalnego, odkomenderowany do funkcji dowódcy legjonów — pułki I Bry gady. Piłsudski otrzymał wtedy z Austr. Komendy Armji dy misję za to, że walczył o przekształcenie legjonów w wojsko polskie. Pan pułkownik Szeptycki był wtedy w obozie przeciwników tej idei. W barakach baranowickich witał p. Szeptyckiego huragan okrzyków: Niech żyje Piłsudski! okrzyków będą cych wtedy hasłem przeciw Austrii, którą miał zaszczyt reprezentować hr. Szeptycki. F. Szeptycki puszczał się wtedy na „kawaty“, kazał żołnierzom legjonowym stawać na bacność i wznosić okrzyk: „Niech żyje komendant!“ raz i drugi raz i trzeci i jeszcze raz, licząc na to, że żołnierzom ten okrzyk się znudzi. W swej sprytniej kalkulacji przerachował się wtedy hr. Szeptycki, okrzyk ten żołnierzom się nie znudził i p. Minister pamięta, jak próbował daremnie uspokajać i wie dobrze, że wszystkie poczynania wojskowe bez Piłsudskiego rozpręgały się z nieuchronną koniecznością.

W Krakowie kompanje 16 pp. miały „uspakajać“ tłum, który wznosił okrzyki na cześć Pierwszego Marszałka Polski, pierwszego Naczelnika Państwa, zwycięskiego wodza Naczelnego, na cześć Tego, któremu, jak to każdy żołnierz w swej wsi mógł wyczytać, Sejm jednogłośnie przyznał, że dobrze zasłużył się narodowi. Cóż dziwnego, że żołnierze stanęli zakłopotani, jacyś bezradni, zgubieni w swej własnej duszy — i wypuszczający dla tego broń z rąk, popadłych jak ich dusza w rozterkę. Nic nie pomoże tu oburzanie się. Stokroć praktyczniej i rozsądniej byłoby uświadomić sobie, że rząd, któremu szkodzić może okrzyk: „Niech żyje Piłsudski“, nie jest wykładnikiem interesów obejmujących całość państwa. Piłsudski mógł współpracować z rządem i p. Paderewskiego, i Skulskiego, i Władysława Grabskiego i z gabinetem koalicyjnym p. Witosa. Z rządem obecnym nie chciał mieć żadnych stosunków. Uważał, że rząd ten musi być rządem zaciętrzewionego fanatyzmu partyjnego, który nieu-



chronnie doprowadzić musi do zabójczego zaognienia wewnętrznych stosunków.

Kraków jest bardzo bolesnym i smutnym dowodem, że te obawy były słuszne. Rząd ma sam przekonanie, że żyje na niepewnym gruncie. Jest zdenerwowany, denerwuje swoich urzędników i denerwuje społeczeństwo. Próbuje wmówić sobie, że ma prawo być rządem silnej ręki. Ta autosugestia jakoś nie idzie. Frazes o silnej ręce, to taki sam *bluff* demagogiczny, jak pożyczka zagranicza, zrównoważony budżet, bank emisyjny. Kto nie wykazał silnej ręki wobec tych, którzy na skarbie państwa posożytuja i do ruiny go pchają, kto sam boi się i drży przed własnym cieniem, komu nad *ultima ratio* zawisł upiorny znak zapytania,—tego zapowiedzi silnej ręki — są marzeniami świętej głowy.

## Rabunek Skarbu.

Rząd i jego prasa dierży w zanadru jeden argument, którym jak tarczą, broni się przeciwko atakom społeczeństwa i polityków opozycji, a mianowicie: naprawa skarbu. Ukuło teorię, że tylko ten rząd, w bardzo ujemnym pojęciu—narodowy, może napełnić złotem kasy państwowe. Choćby więc, dla tych czy innych powodów, nie dogadzał on społeczeństwu, chociażby istnienie jego miało zaognić lub nawet zburzyć proces krystalizowania się fizjonomji politycznej Polski, rząd ten winien być tolerowany z nabożnym szacunkiem, albowiem on, tylko on, chce może i — jak twierdzi senator Koskowski—musi naprawić skarb, uzdrowić pieniądz, odrodzić powszechny dobrobyt.

Nie jest naszym zamiarem wdawać się, w tej chwili, w zasadniczą polemikę z tą tezą. Mamy tylko skromny zamiar przekonać obywateli jednym dokumentem z niewątpliwie obfitej serji spoczywającej w aktach ministerstwa skarbu i Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej, że p. Kucharski nie tylko nie traktuje zapowiedzi sanacyjnych poważnie, lecz poprostu rujnuje skarb i uboży ludzi pracy na korzyść tych właśnie klas zamożnych, które przez swoje stronnictwa obdarzyły go mandatem ministra. Pragniemy wreszcie przekonać ogół, że pod pozorem pięknych i frapujących haseł ukrywa się pospolity rabunek grosza publicznego, wydzieranego z kieszeni najuboższych.

Nie trzeba przypominać, że w planie sanacyjnym ministra Wł. Grabskiego, jako postulat główny, wysunięto konieczność waloryzacji kredytów udzielanych ze skarbu państwa, oczywiście w pierwszym rzędzie prywatnym organizacjom i instytucjom gospodarczym. Chodziło o wprowadzenie w życie zdrowej i jedynie racjonalnej zasady, że skarb państwa, a więc kasa społeczna nie może być źródłem filantropji dla tych, którzy jej nie potrzebują, a przeciwnie, mają obowiązek kasy te wydatnie napełniać.

W myśl tej swojej uzasadnionej tezy sanacyjnej minister Grabski udzielił Związkowi Ziemiań wiosną tego roku znaczniejszej pożyczki na żniwa—w złotych. Jednakże przed terminem jej spłaty uparty minister, nie bez wydatnego współdziałania ziemian, ustąpił miejsca p. Lindemu i ostatecznie Kucharskiemu, który w języku urzędowym, symbolizował ideał „usprawnienia“ gabinetu w zakresie powierzonego mu resostu.

Jak to usprawnienie odbiło się na interesach skarbu i ziemian świadczy następujący list P. K. K. P. do Związku Ziemiań, który brzmi:

POLSKA KRAJOWA  
KASA POŻYCZKOWA

Naczelną Dyrekcja  
8046

Wydział IV Kredytowy  
Grupa V. L. T/M.C

Warszawa d. 26 września 1923 r.

Związek Ziemiań  
Zarząd Główny  
w/m  
Kopernika 30

Otrzymaliśmy podanie panów z dnia 17. b. m. N. I. C. 19127 i zgadzamy się na ostateczną prolongatę udzielonego panom za pośrednictwem Banku Ziemiańskiego oraz Banku Związków Ziemiań specjalnego kredytu dyskontowego na przeprowadzenie żniw — 650.000 zł., który został przez nas przewalutowany na marki polskie według kursu 1 złoty = 30.000 mkp. i prolongowany na dalsze 3 miesiące. — W nadchodzących terminach, począwszy od dnia 6/X r. b., winny być przez panów, *wzamiem wpływających*, przedstawiane nowe weksle wystawiane w markach polskich na sumy zmniejszone o 50%-wą spłatą.

Termin weksli nie może przekraczać 31 grudnia r. b.

Naczelną Dyrekcja  
Polskiej Krajowej Kasy  
(podpisy nieczytelne)

Jaka jest istotna treść listu?

P. Kucharski w rzeczy samej zwaloryzował pożyczkę udzieloną ziemianom według kursu 1 zł. = 30,000 mk., z tym, że dłużnicy mają tę zwaloryzowaną pożyczkę zapłacić po trzech miesiącach, co w rezultacie równa się trzymiesięcznej pożyczce markowej. Wyobraźmy sobie, że termin ten upływa w dniu w którym te słowa piszemy, t. j. 27 listopada. Związek Ziemiań zwróciłby więc 650 tys. złotych  $\times$  30 tys. mk. za 1 zł. = 19,500,000,000 (dziewiętnaście miliardów pięćset milionów marek). Ponieważ zaś w dniu dzisiejszym (27 listopada) kurs złotego według notowań giełdy warszawskiej wynosi 550 tysięcy mk. za 1 zł. przeto po zwaloryzowaniu zwrócona suma wynosi—35.455 złp. zamiast 650,000. Ziemianie zarobili więc na pożyczce 614.545 złotych, to znaczy, po zaokrągleniu 615 tysięcy zł. co wynosi 338 miliardów marek polsk.

Podkreślić należy, iż wobec szybkiego spadku marki zarobek ziemian na skarbie, to znaczy kasie obywateli państwa,



z dniem każdym wzrasta i jeśli p. Kucharski będzie rządził przez czas jakiś, to całą pożyczkę protegowani dłużnicy spłaca ostatecznie nie 35 lecz 5 tysiącami lub może poprostu 5 złotemi. Do tego dojść musi, jeśli skarb napełniać będą wdowiem i grozami nędzarze, a rozkradać miliardami ustosunkowani bogacze.

P. Kucharscy muszą być raz na zawsze odsunięci od koryta państwowego jeżeli rząd szczerze pragnie uniknąć tragicznych nieporozumień, do jakich musi doprowadzić rozpacz grabionego na każdym kroku społeczeństwa.

*W. Stp.*

## **Nauka wypadków krakowskich.**

„Jesteśmy tego zdania, że rozgoryczone fatalnem położeniem materjalnem warstwy pracujące napewno zachowałyby się znacznie cierpliwiej, gdyby miały zaufanie w skuteczną nad nimi opiekę obecnych władz rządowych.— Tymczasem wśród szerokich mas pracujących wręcz przeciwnie nurtuje przekonanie, że obecny system rządowy, osłaniając te grupy społeczne, którym nie dolega głód ani zimno, w zupełnem zaniedbaniu pozostawia proletarjat pracujący, zarówno robotniczy jak urzędniczy. Tu nawet nie idzie o kwestję „prawicy” czy „lewicy”, jak raczej o elementarne zasady uczciwości społecznej, by ci, którzy są wołami roboczymi, a zarazem twórczą siłą państwa mogli uzyskać przynajmniej warunki wegetowania, jeśli równocześnie przy protekcyjnym systemie podatkowym i finansowo-przemysłowym na oczach zbiedzzonego ogółu może panoszyć się wygoda, bogactwo i życie nad stan”.

„Nie wystarczy tu rekonstrukcja w kierunku „siły”, której uosobieniem są wyznawcy faszystowskich metod w polityce, jak pp. Dmowski i Grabski, lecz także potrzebną jest i to pilnie, rekonstrukcja w kierunku uczciwości i rzetelnego zrozumienia dla położenia warstw pracujących. Siła karabinu wiedzy będzie skuteczną, jeśli poza nią stać będzie siła moralna t. j. zaufanie człowieka pracującego do tych, którzy o jego bycie dzisiaj decydują. Jest to sprawa ważna i również wymagająca sanacji, jak poruszona wyżej konieczność złagodzenia wzajemnej nienawiści partyjnej. Jeśli zdarzyło się w Krakowie, że zrewoltowani chwilowo robotnicy rozbrajali żołnierzy z okrzykiem „Niech żyje Piłsudski”, to jeszcze niema powodu do lamentów i szat rozdzierania (jak to czyni p. Rostworowski w najszlachetniej pomyślanym, a najniepotrzebniej w świecie dla żeru partyjnego ogłoszonym „liście otwartym”). Dopóki ten robotnik nie woła „niech żyje Trocki czy Lenin”, lecz tylko hołd oddaje jednemu z wielkich polaków, to dowód, że kocha on Polskę, lecz tylko pragnie Polski rzetelnie demokratycznej, zdecydowanie „antypaskarskiej”, Polski, w której praca nie byłaby czarnym chlebem niewolnika zaprzężonego w rydwan używających, lecz rozstrzygającym tytułem do zaspokojenia elementarnych potrzeb życia”.

„Rzecz w tem, by tych mas pracujących nie odsuwać od Polski głodem i postrachem. Wyjdźmy naprzeciw nich, nie z kulami, lecz z argumentem siły moralnej, z argumentem uczciwości społecznej i demokracji istotnej, to masy te napewno będą najpewniejszą gwarancją naszej niepodległości i siły państwowej”.

*Nova Reforma.*

## **Krakowskie orgje.**

To co się obecnie dzieje w Krakowie w sferach wojskowych, bodaj, że nigdy jeszcze w dziejach wojska polskiego nie miało miejsca. Dzień w dzień odbywają się ciągle aresztowania

osób wojskowych, którzy mieli nieszczęście ongiś służyć w Legionach i krew w nich za Polskę przelewać. Aresztuje się oczywiście nie za udział w rozruchach wtorkowych, ale za najłżejszą krytykę nonsensownej tragicznej szarży ułanów, za najślabsze słowo powątpiewania w skuteczność tego rodzaju zarządzeń, za słowa wypowiedziane prywatnie do osób prywatnych, a gdzieś przez kolegów postyszone i *zdenuncjowane*. Bo wrzód austriacki na ciele wojska polskiego nie wacha się rozwijać system szpiegowania oficerów przez ich kolegów, otacza byłych legionistów siecią szpicłów i prowokatorów, śledzi, tropi, prowokuje na każdym kroku. Tego, co się obecnie dzieje w Krakowie nawet w Austrii nie było—grupa „ideowa“ pp. Człków pobiła dawny rekord.

I tak między innymi aresztowano, za podstyszone słowa krytyki i powątpiewania w skuteczność i celowość szarży wtorkowej i pchania wojska do walki z ludnością, następujących oficerów, b. legionistów: podpułkownika Józefa Gigieła, majora Władysława Wojakowskiego, majora Kostkę-Biernackiego, porucznika Józefa Kormana, porucznika Skalskiego; za udział w pogrzebie poległej w Tarnowie ludności cywilnej (!!!) — majora Dziadosza i za rozumne zachowanie się wobec pilnujących porządku na mieście, już po wypadkach, straży robotniczej: majora Handa (z armji austrij.).

Lista powyższa jest o wiele dłuższa i z dnia na dzień wzrasta.

Charakterystycznym jest fakt aresztowania majora Dziadosza za udział w pogrzebie ofiar tragedji. Dowodzi ono zupełnego zdżiczenia i partyjnictwa czynników kierujących tą bezprzykładną akcją. Nie dzieje się to bez przejrzystych tendencji i programu. Cel jej oczywisty: usunąć resztki elementu legjorowego z armji, postawić go w stan oskarżenia i zohydzić w oczach społeczeństwa.

Równocześnie dowiadujemy się o niebываłych wprost aferach szpiegowskich na terenie D. O. Korp. Krakowskiego. — Oto dalsze skutki zwrócenia inicjatywy „fachowców“ na „front wewnętrzny“. Niech nas szpiegują, niech wykradają tajemnice naszej siły i słabości, naszych wysiłków i planów strategicznych, byle nienawiść partyjna była zaspokojona.

Jest to jeszcze jeden dowód, że okręt Rzeczypospolitej pełnymi żaglami gnany jest przez jego dzisiejszych sterników na skaliste rafa zawieruchy wewnętrznej.

w. l.

## **Junosza Gzowski redaktor „Gazety Porannej“.**

Co pewien czas na powierzchnię życia publicznego w Polsce, korzystając z ogólnego zamętu, braku uwagi i osłabienia pewnych kryterjów moralnych — wydostają się jednostki, których miejsce byłoby gdzieindziej, ale to zupełnie gdzieindziej—i sta-



rają się gestem moralizatorstwa, słowem super patriotyzmu i fromtadrackim trąbieniem odwrócić uwagę od siebie, przerzucając ją na innych. Szczególniej łatwo zdobywa sobie miejsca taki osobnik w dziennikarstwie, fachu, który, niestety w Polsce tak często do szacunku nie skłania. Bandyci pióra, werbowani ze wszelkiego rodzaju kanalji, po dłuższem użyciu, już mają gesta ojców narodu. Trzeba takiego osobnika w czas trzepnąć po palcach, by znikł z powierzchni i cofnął się na miejsce rzeczywistości mu należne.

Gdy wojska polskie zajęły poraz pierwszy Mińsk zgłosił się w II oddziale IV Armji z bolszewicka w skórzaną kurtę przybrany, dość podejrzanie wyglądający jegomość i bardzo kiepsko mówiąc po polsku przedstawił się jako Junosza (sic!) Gzowskij dziennikarz rosyjski, współpracownik wielu świstków brukowych, którego bolszewicy rzekomo zmusili do współpracy w swych gazetach i który dobrowolnie pozostał w Mińsku, by dostać się w ręce polskie. Zwrócono wprawdzie uwagę na nieco zbytnią zażyłość jaka „dziennikarza“ łączyła ze światkiem komisarskim, okazano mu również fotografie na których rycerską postawą i „bodrym widem“ rywalizował z „towarzyszami“, wobec jednak gorących zapewnień iż tylko gtód i strach zapędziły go do pracy w szeregach mu wrogich, uwierzono i dano możność rehabilitacji.

Oddział II Armji IV przyjął go jako jednego ze swych agentów w dziale propagandy przeciwbolszewickiej. I tu Gzowskij okazywał niejednokrotnie nadmiar „usierdja“. Jego czarnosecinne, skrajnie monarchistyczne rosyjskie patriotyczne wystąpienia musiały być nieraz energicznie hamowane. Zresztą trzeba przyznać, iż był pracownikiem zręcznym, rzutkim i lojalnym w stosunku do tych, co płacili.

Podczas wojny Gzowskij (wciąż jeszcze Gzowskij) został redaktorem technicznym *Swobody* wydawanej przez Sawinkowa. Jak ten notoryczny prawicowiec rosyjski trafił do Sawinkowa pozostaje tajemnicą. Najprawdopodobniej przekonania ustąpiły wobec argumentów zarobkowych.

W tym czasie w dalszym ciągu szuka kontaktu z II oddziałem, ofiarowując niejednokrotnie swe usługi. Zostaje przyjęty w centrali jako agent w zakresie prac propagandy. I Gzowskij (wciąż jako dziennikarz rosyjski) pisze. Pisze na rozkaz, w nakazanym mu z góry kierunku, na zadane tematy, w określony sposób. Staje się współpracownikiem wielu organów emigracji rosyjskiej. Pod swem nazwiskiem trafia do organów prawicy, jako Borys Olginskij pisze w pismach postępowych, używa jeszcze szeregu innych pseudonimów, lojalnie z punktu widzenia polskiego naświetla wszelkie sprawy, ze specjalnym uwzględnieniem spraw wojska i wojny. Aż do końca pracy pisze rzeczowo i przekonywująco — na zlecenie.

W tym czasie odbywa się w duszy Gzowskiego przewrót. Odnajduje w sobie dawnego polaka (prawosławny, żonaty z rosjanką, prawie że nieznający polskiego języka) zapomina o swej

przeszłości rosyjskiego reportera, zapomina o swej rodzinie rosyjskiej (śród której znajduje się zdolna artystka rosyjska Olga Gzowska) i pamiętając jedynie o swych dawnych sympatjach ku Romanowym, poczyną szukać bratnich dusz. Usunięty ze *Swobody* wstępuje do *Gazety Porannej* a potem i do *Rzeczypospolitej*. W oddziale II zachowuje się zresztą lojalnie. Wobec przeciwrządowego stanowiska tych pism melduje o swem w nich współpracownictwie, okazując gotowość do ewentualnego dostarczania informacji z tego źródła. Wobec tego, że usługi te bynajmniej potrzebne nie były, ogranicza się do przynoszenia i rozpowszechniania ploteczek gorszego gatunku z obozu swych nowych przyjaciół.

Lojalność dla Oddziału II (skąd bierze skromną, ale stałą pensję za swe prace w zakresie propagandy) posuwa tak daleko iż wielokrotnie jako współredaktor *Dwugroszówki* paraliżuje nieprzytomne ataki tego świstka na Oddział II.

Najwybitniej wystąpiło to w sprawie Skrudlika, co do winy którego Gzowski był przekonany i w swych sprawozdaniach sądowych lawirował między prawdą, a obowiązkami wobec brukowca. Wszystko jednak ma swój koniec. Skończył się i pobyt Gzowskiego w Oddziale II. Wobec zlikwidowania działu pracy propagandowej — zostali zlikwidowani i odnośni agenci. Gzowski odzyskał swobodę. Lojalność przestała obowiązywać, wobec ustania monetarnego ekwiwalentu. Trzeba było odkupić swe przewiny wobec właściciwych panów. I Gzowski z tupetem rzucił się na obronę skazanego przez sąd Skrudlika, atakując oczywiście Oddział II, atakując imiennie tych, dla których z szacunkiem i uznaniem tylokrotnie niepytany się oświadczał. Postąpił jak zwykła gadzina dziennikarska.

A może odezwała się w nim nuta sentymentu dla tego, którego losy tak blisko jego własne przypominały. I tu i tam oddział II i Narodowa Demokracja, niewiadomo gdzie w sercu jedno się kończy, a drugie zaczyna, gdzie uczucie, a gdzie prowokacja. I tu i tam koneksje bolszewickie. Gzowski od sowieców zaczął. Skrudlik na nich skończył.

Braterstwo dusz! Odnależli się!... Sadzewicz, Gzowski, Stroński, Skrudlik, Lutostawski...

## **Stołeczny magistrat przed Sądem.**

W d. 13 b. m. sąd okręgowy w Warszawie rozpatrywał sprawę karną przeciw kierownictwu jednego z wydziałów magistratu st. m. Warszawy.

Na ławie oskarżonych zasiadł p. Hieronim Wyczółkowski dyrektor wydziału zaopatrywania, oskarżony o niedbalstwo, skutkiem którego do jadalni miejskich oddawane było mięso zepsute, po części złe jeszcze przed zepsuciem, bo wągrowate. Obok p. Wyczółkowskiego zasiadł jego zaufany pomocnik p. Czesław Kulesza, tak zwany handlowiec, którego W. Z. wy-



słał po odbiór ogromnej ilości mięsa (40 tysięcy kilogramów) — zamiast weterynarza. Dalej widzieliśmy p. Stejana Haupa, p. Bronisława Naske, bezpośredniego żywiciela wygłodzonej inteligencji stołecznej zielonem mięsem magistrackiem i wreszcie p. Wandę Jasińską.

Na ławie oskarżonych brakło współwinnych: p. Kazimierza Solnickiego, p. Piotra Drzewieckiego, byłego prezydenta miasta, oraz p. Jabłońskiego, obecnego prezydenta.

Pan Kazimierz Solnicki winien był zasiąść na miejscu honorowem równie blisko głównego winowajcy p. Wyczółkowskiego, jak i p. Czesław Kulesza. W toku rozprawy wypłynęła bowiem dyspozycja piśmienna p. Solnickiego, by nieświeże mięso wysyłać z magazynów do miejskich kuchen. Gdy wypadło stanąć przed wymiarem sprawiedliwości i głośno powtórzyć trucicielską dyspozycję, wydaną w mrokach naszego magistratu, nerwy rzekomo odmówiły p. Solnickiemu. Stwierdził to dr. Adam Ciagliński, który wydał świadectwo, że wskutek złego stanu nerwów p. Solnicki winien przez kilka dni pozostać w domu. (Niech czytelnicy nasi zapamiętają tę przeszkodę, jaką wymiarowi sprawiedliwości w sprawie szkodnictwa społecznego na gruncie higieny wysunął dr. Adam Ciagliński).

Obrońca p. Wyczółkowskiego adwokat Landi — to nazwisko też należy pamiętać — przedstawił świadectwo Ciagliński - Solnicki i domagał się, by wobec braku rzekomo głównego winowajcy (jakgdyby głównym truciicielem nie był dyrektor, lecz szef sekcji) sprawę odłożyć. Sąd temu żądaniu odmówił.

Pierwszy świadek, członek komisji dyscyplinarnej zeznał, że nie rozumiał i nie rozumie, czemu za mięso w hurcie zapłacił p. Wyczółkowski wyżej ówczesnej ceny maksymalnej w detalu, a nawet wyżej od cen detalicznych, za które rzeźników sadzano do kozy.

Możemy wyręczyć świadka. Mięso zakupił p. Wyczółkowski w znanej wszystkim rzeźni w Rykach, lecz nie wprost — broń Boże — a sposobem łańcuszkowym. Mianowicie, jako sprzedawca wystąpiła firma Krajewski i S-ka, która świński handel uprawia nie dlatego, żeby posiadała rzeźnię świńską, jak Ryki, lecz dlatego, że umie pośredniczyć w transakcjach zepsutą swinią, a nawet zarażoną, do której Wydział Zaopatrywania niepotrzebnie się tak zbliżył. Drugiem ogniem łańcuszka było Towarzystwo Apropowizacji miast polskich i ziem wschodnich. Co to jest za Towarzystwo, wystarczy powiedzieć, że założył je p. Wyczółkowski wspólnie z ówczesnym wice-prezydentem miasta p. Władysławem Malinowskim, który się później wślawił, jako prezes smutnej pamięci dla kraju, a b. p. dla paskarzy komisji wwozu i wywozu. Otóż p. H. Wyczółkowski, jako dyrektor tow. apropowizacji miast mięso kupił i sprzedał temuż p. H. Wyczółkowskiemu, jako dyrektorowi magistrackiego wydziału. Ponieważ zwykle dyrektorowie instytucji handlowych

pobierają procenty od dochodu, a często od obrotu, p. Wyczółkowski mógł mieć poważne osobiste powody, dla których nie zrobił tranzycji wprost pomiędzy Rykami i Wydziałami Zaopatrzenia.

Dalej zeznawali świadkowie, że mięso nosiło ślady jakgdyby przechowywania w ziemi. Ponieważ działo się to zaledwie w parę miesięcy po przejściu bolszewików, a na niektórych kawałkach mięsa była już gruba ruń pleśni, jest bardzo możliwe, że nietylko rzucanie mięsa do kałuż przy wysyłaniu z warszawskich magazynów W. Z. do kuchen, ale i uprzednie zakopywanie nadało ów pikantny charakter świninie stołecznej. — Kontroler miejski p. Brandysiewicz zeznał, że wśród mięsa zakwalifikowanego do spożycia w jadłodajniach miejskich stwierdził odrażająco zepsute. Uważana jednak, że wygłodzona inteligencja i takie łapczywie spożyje.

Na ławie obrończej zjawił się adwokat wydziału zaopatrzenia, główny doradca p. Wyczółkowskiego p. Józef Polikier, i rozpoczęto dopytywać bardzo skrupulatnie p. Brandysiewicza, czy wypadek z cuchnącem mięsem miał miejsce nie później jak w październiku r. 1920. Po stwierdzeniu zaś tego faktu zażądano umorzenia sprawy, ze względu na przedawnienie (3 lata).

I sąd musiał się zgodzić na umorzenie tak brzydkiej sprawy.

W ten więc sposób utrwaliło się, że wprowadzie magistrat truł ludzi, ale było to — w tym wypadku — tak dawno, że już można uciec od sądowego stwierdzenia faktów, a poprzestać tylko na tem, co ustaliła komisja dyscyplinarna. Fama niesie, że z racji tej sprawy prokurator w roku 1921 zgarnął p. Wyczółkowskiego jak pył z fotela ministra aprowizacji. Czemuż więc pomocnik prokuratora p. Nisenson, kolega p. Józefa Polikiera, nie dopilnował, by w porę stwierdzono, czy p. Wyczółkowski ma kwalifikacje moralne na żywiciela stolicy, skoro ich nie ma na żywiciela kraju.

Opisana sprawa ma bezpośrednio wielkie znaczenie, lecz jeszcze większe jest jej znaczenie pedagogiczne. Poucza ona bowiem, że można karmić obywateli zatrutemi artykułami spożywczemi i robić inne świńskie tranzakcje, lecz trzeba zachować pewne prawa organizacyjne.

Mianowicie: 1) obiekt powinien być duży, ażeby cząstka rozporządzalnych środków wystarczała na opłacanie przez parę lat adwokatów śpędzających sprawę z wokandy; 2) uczestników wykroczenia powinno być kilku, ażeby co rok inny mógł w terminie sprawy czuć się pacjentem d-ra Ciąglińskiego; 3) po wykonywaniu krzywdy należy obierać obiekt, odznaczający się bezwładem, jak np. stolica pod przewodnictwem pp.: Jabłońskich, Drzewieckich, Balińskich, Wilczyńskich i t. p. wielkości magistrackich i radzieckich; 4) należy się na wszelki wypadek wy-



strzeżać prawników o niezależnym i prawym sposobie myślenia w rodzaju p. Czesława Jankowskiego, członka komisji dyscyplinarnej magistratu.

Grunt organizacja.

## Powiadają...

W związku z objęciem przez gen. Sosnkowskiego stanowiska Inspektora Armji III w Toruniu i zdumieniem, jakie ten fakt wywołał w kołach demokratycznych, powiadają, iż decyzja generała pozbawiona jest całkowicie momentów politycznych, a spowodowana została względami natury osobistego gospodarzcy.

Chodzi — jak mówią — o to, że gen. Sosnkowski jest właścicielem bardzo pięknego majątku ziemskiego, położonego (bardzo ładnie) w odległości 50-ciu kilometrów od Poznania. Oczywiście. w czasie sprawowania przez generała urzędu ministra. majątek pozbawiony był dobrodziejstwa pańskiego oka, które, jak chce przystawie, konia tuczy. Przyjęcie obecnie stanowiska z siedzibą w Toruniu, jest więc podyktowane względami osobistej wygody generała, nie zaś, jak to usiłowano komentować, troską o galwanizowanie gasnącego lokatora pałacu pod Błachą.

Stosunek gen. Sosnkowskiego i jego teściowej do obecnego rządu — jak powiadają — pozostaje bez zmiany.

Powiadają, że w nocy poprzedzającej tragiczne wypadki krakowskie (z dnia 5 na 6 listopada) o g. 11 m. 30, p. minister spraw wewnętrznych Kiernik zjechał autem przed główny sztab faszystów (adres p. minister ze zechce zapewne podać do wiadomości publicznej) i poleciwszy szoferowi zgasić reflektory, udał się na naradę z głównymi przywódcami organizacji. Narady trwały 15 minut, poczem p. Kiernik odjechał wydać zarządzenia na dzień następny. Fakt ten, jeśli nie zostanie dostatecznie rzeczowo sprostowany, rzucałby interesujące oświetlenie na osobę tajemniczego ministra, zresztą unikającego odpowiedzialności za wypadki wstrząsające państwem.

\* \* \*

Powiadają, iż gen. Czikiel żegnając się ze swoim sztabem, oświadczył, że wprawdzie wypadki, które przyniosły mu dymisję były bardzo smutne, — wszystkiemu jednak winien ten niedołęga Gałęcki, gdyż on, Czikiel miał niezłomny zamiar zbombardować zatoczonymi na mury Wawelu armatami: Dom Robotniczy i redakcję *Naprzodu*, co miało niewątpliwie uratować sytuację. Powstrzymał go rzekomo od tego rycerskiego zamierzenia Gałęcki, oświadczając iż otrzymał z Warszawy rozkaz zawieszenia broni.

Powiaada przystawie, „iż gdyby świnia miała rogi\* fizjonomja świata wyglądałaby zgoła odmiennie.

\*

Powiadają, że w ubiegłym miesiącu fabryka wyrobów metalowych w Podgórzu pod Krakowem, pod firmą W. Kucharski sp. akc., stanowiąca własność p. ministra skarbu, wniosła do Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej podanie o kredyt. Jednocześnie, jak tego wymagają przepisy, ta sama fabryka wniosła do Ministerstwa Przemysłu i Handlu drugie podanie o wydanie opinji dla P. K. K. P. o jej zdolnościach kredytowych.

Czy trzeba przypominać iż właściciel tej fabryki p. Władysław Kucharski do niedawna był ministrem przemysłu i handlu, a obecnie jest kanclerzem skarbu?

\*

Powiadają, że po wypadkach krakowskich, z rozkazu władz centralnych, w oddziałach wojskowych wprowadzono nowy rodzaj ćwiczeń taktycznych, o takim, mniej więcej, założeniu: z oddziału złożonego powiedzmy,

ze 120 żołnierzy, oficer dowodzący oddziela grupę 20 i ustawia ją w odległości powiedzmy 100 metrów przez frontem oddziału. Teraz następuje objaśnienie zadania: — ta grupka dwudziestu to tłumy cywilów zgromadzone na ulicy. My (oddział) mamy rozkaz „oczyścić” ulicę. (W tym miejscu dowódca rozsypuje oddział w linię tyraljerską i wydaje rozkaz ładowania broni).

Wobec tego — objaśnia oficer — wzywam tłum: rozejść się.

Tłum się nie rozchodzi... bo taka była instrukcja!

Wzywam poraz drugi: rozejść się.

Tłum się nie rozchodzi... bo taka była instrukcja.

Wzywam poraz trzeci: rozejść się.

I znów wobec instrukcji tłum nie rozszedł się.

Ponieważ tłum nie usłuchał wezwania musimy użyć broni. Padają salwy — jedna, druga, trzecia... tłum się nie rozchodzi... bo taka była instrukcja.

Oficer daje sygnał na trąbce — to rozkaz dla karabinu maszynowego. Grzechoczą przeciągłe serje morderczych pocisków... tłum powoli pada, wojsko zwycięża... bo taka była instrukcja.

Takimi ćwiczeniami — jak mówią — zaprzęta się umysł armji.

Powiadają, że minister Kiernik w porozumieniu zapewne z premierem Witosem wyprowadził w pole przedstawicieli opozycji sejmowej, zapewniając, że sprawa wydania sądowi posłów Marka, Bobrowskiego i Stańczyka nie będzie aktualizowana i że oczywiście Piast stanie w obronie ich nietykalności. Marszałek Rataj złożył to zobowiązanie chętnym do układów pp. Niedziatkowskiemu i Thuguttowi i na tej podstawie prowadził z nimi daleko idące pertraktacje. Nagle w środę dn. 28 b. m. minister Kiernik zmienił zdanie i zażądał głowy posłów Bobrowskiego i Stańczyka.

Kogoś oszukano, z kogoś zadrwiono, ktoś raz jeszcze okazał się piastowcem.

## Ruch umysłowy.

Komitet kasy im. Mianowskiego podaje do wiadomości, że Departament Badań Naukowych Angielskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych przesłał Kasie Mianowskiego za pośrednictwem Ligi Narodów pismo, w którym proponuje przesyłanie swych wydawnictw na zamianę z wydawnictwami instytucyj i towarzystw naukowych polskich. Instytucje, które chciały by uczestniczyć w wymianie wydawnictw, zechcą się zgłosić do Kasy Mianowskiego. Bliższych informacji udziela biuro Kasy, gdzie można przejrzeć listę wydawnictw wspomnianego Departamentu.

---

**TREŚĆ № 12-ego:** Obłęd parlamentaryzmu *Tadeusz Hołubko*. — Marzenia ściętej głowy. — Rabunek skarbu. *W. Stp.* — Nauka wypadków krakowskich. — Krakowskie orgje. *w. l.* — Junosza Gzowski redaktor „Gazety Porannej”. — Stołeczny magistrat przed sądem. — Powiadają. — Ruch umysłowy.

---

**Warunki prenumeraty:** Prenumerata miesięcznie **240.000 Mk.**, kwartalnie **720.000 Mk.** Zagranicą kwartalnie **1.080.000 Mk.** Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. 3288.

---

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpiczyński.**

---

Druk. Spółki Wydawniczej Powszechnej Szpitalna 1.













**BIBLIOTEKA IBL**

P. II. 376

1923

N. 1-12